

# Wobler nie ciągutka

Autor: Jacek Józwiak

Kilka prostych podpowiedzi o tym, jak prowadzić wobler, aby cośkolwiek się nimi zainteresowało. To sprawy tak oczywiste, że nikt o nich nie pamięta, a tym bardziej ich nie stosuje.

Ileż razy można spotkać nad wodą wędkarzy, którzy za ciężkie pieniądze zakupiwszy wspaniałe rapale, big esy, jugolki czy yozurki nie pełni wykorzystują możliwości używanych przynęt. Wyrzucają wobler jak najdalej, nie potrafią odczekać, aż uspokoi się woda. I zaczynają skręcać żyłkę ruchem jednostajnym, z reguły zbyt szybko. Grzechem powszednim jest też używanie zbyt grubych żyłek, co w znacznym stopniu "psuje" pracę tych przynęt.

Wielokrotnie - choćby nad Kanałem Żerańskim czy Jeziorem Zegrzyńskim - spotykałem się z sytuacjami, gdy staranny "woblerzysta", w ciągu dwóch, trzech godzin schodził z łowiska z kompletem drapieźników, a korzystał z topornej, byle jak pomalowanej przynęty własnej roboty. Okazuje się bowiem, że podstawą w spinningowaniu woblerami jest umiejętne prowadzenie przynęty, staranność zaś w jej malowaniu, owe zaznaczenia każdej łuski, każdego promienia płetwy piersiowej czy brzusznej są sprawą drugorzędną. Mam znajomego, który w ogóle nie maluje własnoręcznie wystruganych woblerów - zaznacza tylko oko i kryje naturalne drewno bezbarwnym lakierem caponowym. Efekty jakie osiąga, stosując te niezbyt atrakcyjne z wyglądu przynęty, są niezwykle. W poprzednim sezonie kilkakrotnie byłem świadkiem, jak w ciągu kilku godzin wyciągał z rozlewisk wpadającej do Bugu rzeczki Fiszor po komplecie szczupaków, jak na wysokości Bielán łowił na agresywne "małpie jaja" kilkunastokilogramowe sumy.

Ja sam zdobuję swoje wobler, najbardziej wymyślnymi barwami. Czasami stosuję wręcz paranoiczne kolory, schizofreniczne wzorki, ale zdaję sobie sprawę, że bawię się tymi rysunkami bardziej dla siebie, niżli dla ryby. Większość preferujących wobler spinningistów maluje i zdobija swoje przynęty dla samych siebie, dla fantazji, dla dobrze prezentującego się pudełka. Znam ludzi, którzy z folii do pieczenia wycinają każdą pojedynczą łuskę, znam takich, którzy szykując wobler-okonka godzinami punktuja wiewiórczym pędzelkiem pręgi na korpusiku. Jeśli oprócz malarskiej pasji dysponują technicznymi umiejętnościami łowieckimi, wobler stają się w ich rękach morderczą przynętą. Nie bez kozery w amerykańskich i kanadyjskich periodykach wędkarskich jedna czwarta tych przynęt ma w nazwie słowo "killer", "murder", czy "assasin"...

Do woblerowych łowów należy używać wędziska o delikatnej, choć wytrzymałej szczytówce. Rzecz jasna musi być to delikatność adekwatna zarówno do wagi, jak i rodzaju pracy używanych woblerów.

Prowadzenie woblera pływającego to częste zatrzymywanie skręcania żyłki... Przynęta kołysząca się podczas zwijania linki zatrzymuje się wówczas naturalnie - tak, jak to czynią żywe rybki - i podnosi się ku powierzchni. Daje to drapieźnikom dodatkową szansę ataku. Ponad połowa pobić następuje właśnie w momencie zatrzymania woblera. Wędkarski kunszt polega na utrzymaniu kontaktu z przynętą na napiętej żyłce. W tych chwilach wielką rolę odgrywa dobrze sygnalizująca szczytówka. Nie branie sygnalizująca, jak w przypadku opadającej gumy, ale pełny kontakt z przynętą - kiedy ma się kontrolę nad woblerem i wybierze łuk żyłki, natychmiast kończą się drgania szczytówki spowodowane naturalnymi drganiami ludzkiej ręki.

Równie ważna dla końcowego rezultatu połowów jest delikatna żyłka. Jeśli dysponuje się kołowrotkiem o precyzyjnym hamulcu nawet do dużych woblerów o bardzo agresywnej akcji wystarcza linka o wytrzymałości ok. 5 kg. Dobrze wyregulowany hamulec, wędzisko o dość miękkiej akcji i na taką żyłkę można po pasjonującej walce wyjąć dziesięciokilogramowego szczupalca.